

Poezja się uratuje

Roman Samsel rozmawia z Józefem Łobodowskim

Józef Łobodowski mieszkał w madryckiej dzielnicy Moncloa. Nie wiedziałem jednak o tym, kiedy wybrałem się do Madrytu na wiosnę 1986 roku. Interesowała mnie jego twórczość. Także niecodzienny życiorys przedwojennego „zawadiaki” literackiego, skomplikowana droga życiowa, niezrozumiały odwrót od ideałów młodości, emigracja i fama „niezlomnego” skusiły mnie, aby Go poznać.

W Madrycie nie wiedziałem do kogo się udać, aby uzyskać informację o jego miejscu zamieszkania. Znajomi z kręgów literackich nic o nim nie słyszeli. Domyśliłem się, że w prasie hiszpańskiej nie drukuje, ani też nie wydaje w Madrycie książek.

Wpadłem na pomysł, aby zwrócić się do księdza Walorka, którego telefon uzyskałem w naszym konsulacie.

Ku mojemu zaskoczeniu, ks. Walorek zamiast adresu zamieszkania Józefa Łobodowskiego, podał mi nazwę jakiegoś baru w dzielnicy Moncola i ulicę, na której się znajduje. Pojechałem tam wczesnym popołudniem. Była to mała dziura z włoskim ekspresem do kawy. Zapytałem barmana o „Don José”. Natychmiast mi wskazał stolik w głębi sali, przy którym siedział Józef Łobodowski i czytał korektę artykułu, który przetłumaczył z ukraińskiej dla polskiej gazety. Przedstawiłem się, wyciągnąłem z torby dwie moje książki i okazałem mu je. Wtedy zaprosił mnie, abym usiadł i zamówił u kelnera dwie lampki wina tinto. Tak zaczęła się ta znajomość, kontynuowana przez kilka dni, właściwie wieczorów w tym samym barze, w sąsiedniej restauracji oraz w mieszkaniu znajomego Polaka, który zaprosił nas do siebie, abym mógł nagrać z Józefem Łobodowskim wywiad jego życia.

Nagranie trwało z przerwami kilka godzin, podczas kolejnych dwóch wieczorów. Niestety, nie wszystkie taśmy zostały nagrane. Zaabsorbowany poetą, jego spontanicznością, goryczą i nadzwyczajną wewnętrzną siłą potrzeby tworzenia, zapomniałem sprawdzić działanie magnetofonu. Ale najważniejsze z tego, co mi wówczas powiedział, zachowało się na taśmie.

Odtworzyłem to nagranie w Klubie Literatów „Krag” na zaproszenie Zygmunta Lichniaka w dniu 6 kwietnia br.

Drukowana rozmowa z Józefem Łobodowskim stanowi fragment przedstawionych wówczas nagrań magnetofonowych.

- Zdecydował się pan zostać tu, w Madrycie, przez tyle lat. A czy nie pomyślał pan kiedyś, że w Polsce może to być niezrozumiałe? Że ludzie, którzy mają teraz 10 lat, w ogóle nie będą tego rozumieli, jeśli to było z pana strony poświęcenie?

- Żadne poświęcenie. Po prostu miałem tu warunki do pracy i nie chciałem wyjeżdżać z Europy. Swego czasu Fundacja Kościuszkowska w Stanach Zjednoczonych zaproponowała mi wykłady slawistyczne na uniwersytecie w Buenos Aires. Ale nie przyjąłem tej propozycji.

- Powiedział pan, że nie chciał pan mieszkać we Francji, bo były tam wpływy komunistyczne. To znaczy, że pańska niechęć do komunizmu jakby się pogłębiała...

- Oczywiście, że się pogłębiała (...)

- A z Wańkowiczem pan się kiedyś zetknął?

- Owszem, w Londynie. Wańkowicz to był, moim zdaniem, bardzo zdolny oportunistą. Tak samo jak Stanisław Cat-Mackiewicz. Po powrocie Mackiewicza do Polski spotkałem się przypadkowo z jego rodzonym bratem i pytam go: - Co pan na ten powrót swego brata? On mi na to powiada: - Mój brat to jest najpodlejszy człowiek na świecie. Oczywiście, to była przesada. Ale moralnie Mackiewicz był właściwie człowiekiem nieistniejącym. Dlaczego wrócił? Liczył na to, że dostanie katedrę literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie dostał. Zaczął wypisywać bzdury. Jeżeli on potrafił napisać, że Żeromski to był pisarz na poziomie Mniszkówny, to wystarczy. Nawet jeżeli nie lubił Żeromskiego, to jeszcze nie powód żeby go zestawiać z Mniszkówną. To był człowiek rozgoryczony i wypisywał bzdury.

- Czy pan kiedyś spotkał Mikołajczyka po tym, jak on uciekł z Warszawy?

- Owszem, to było w Madrycie. Zamieniłem z nim kilka słów, ale nie miałem chęci na dłuższą rozmowę, bo to był kompletny dureń, który się dostał na stanowisko premiera ze względu na fatalne okoliczności, w jakich była wtedy polityka emigracyjna.

- A dlaczego uciekł? Czego się bał? Nie powiedział panu?

- Wiadomo czego się bał. Że go aresztują.

- Mnie się wydaje, że chciano się go pozbyć. Gdyby tego nie chciano to byłby nie uciekł.

- Możliwe. Chcieli się go pozbyć. Iluż ludzi potem przez niego zginęło i może on tego się bał.

- A co potem robił?

- Żył za amerykańskie pieniądze.

- Chciałbym jeszcze zapytać jak panu się współpracuje z „Kulturą”. Oni drukują pana wiersze.

- Ostatnio ta współpraca prawie całkowicie się zerwała. Niedawno otrzymałem od „Kultury”

propozycję napisania recenzji z polskiego numeru ukraińskiego czasopisma w języku polskim. Autorami są głównie Polacy, ale też Ukraińcy i Anglicy. Natomiast jeśli chodzi o rzeczy oryginalne, to nie.

- Dlaczego? Przecież przez całe lata pan z nimi współpracował.

- Owszem, od pierwszego numeru. Jeszcze tego rzymskiego.

- A ile pan wydał książek na emigracji?

- Siedemnaście. Osiem tomów poetyckich, reszta to publicystyka, satyra pisana wierszem i powieści. W tej chwili nie ma nic. Całe moje archiwum zginęło przy przeprowadzkach. A dwie książki wydane po hiszpańsku ukazały się bardzo dawno, w 1945 roku. Są to krótkie szkice o literaturach słowiańskich: rosyjskiej, polskiej, ukraińskiej, czeskiej, słowackiej, serbsko-chorwackiej, bułgarskiej, dla audycji radia madryckiego nadawanej w języku polskim. Istniała ona 27 lat, została zlikwidowana w miesiąc po śmierci gen. Franco. Ta audycja była bardzo w Polsce słuchana, bo istniała wcześniej od Wolnej Europy.

- To była audycja polityczna czy literacka?

- Głównie polityczna, ale mówiono w niej również o sprawach literackich i kulturalnych.

- Czy jeszcze któryś z pisarzy polskich współpracował z tą audycją?

- Publicysta Wojciech Zalewski, nieżyjący już od dawna.

- Czy prowadził pan korespondencję z którymkolwiek z pisarzy polskich mieszkających w kraju, tak jak np. Gombrowicz z Iwaszkiewiczem?

- Nie. Iwaszkiewicza poznałem przelotem przed wojną w Warszawie i na tym się skończyło.

- A jak wytłumaczyć fakt, że pan w ogóle po wojnie w Polsce nie drukował?

- Bo mnie nie drukowano. W antologii poezji przedwojennej wydanej przez Seweryna Pollaka i Ryszarda Matuszewskiego mnie nie ma. Byłem wśród tych, których brano pod uwagę, ale potem nie umieszczono. W antologii poetów lubelskich, ułożonej przez Mrozowskiego i wydanej w Wydawnictwie Lubelskim, także mnie nie ma. Zostałem przemilczany całkowicie.

- Chciałbym pana zapytać o czasy lubelskie, te najwcześniejsze. Czy ktoś z „Dźwigarów” jeszcze żyje?

- Z „Dźwigarów” nikt. Chyba tylko Czuchnowski.

- Jak doszło do powstania „Dźwigarów”?

- Zwyczajnie. Doskonale wtedy zarabiałem korepetycjami, wyciągałem do 500 tys. miesięcznie i stać mnie było na wydanie pisma. Miałem zapas papieru jeszcze po poprzednim czasopiśmie.

I wydałem „Dźwigary”. Wyszły dwa numery - w roku 1934 i 1935. Dotychczas nie ukazała się żadna monografia „Dźwigarów”.

- Jak to się stało, że przeszedł pan do komunizmu? Czy miało na to wpływ pana pochodzenie społeczne?

- Nie. Ja przeżyłem rewolucję i wojnę domową na północnym Kaukazie. Widziałem zbrodnie popełniane przez jednych i drugich. Kiedy wróciliśmy, miałem trzynaście lat. Opowiadano mi, że w Polsce jest rajskie życie. Zobaczyłem wielką nędzę - na wsi, wśród robotników, wśród biedoty żydowskiej. I powiedziałem sobie, że te zbrodnie, które widziałem w czasie wojny domowej w Rosji, były skutkiem uprzednio poczynionych niesprawiedliwości. Wobec tego trzeba te niesprawiedliwości naprawić. I poszedłem na lewo. Doszedłem do komunizmu. Ale potem zacząłem podejrzewać, że to nie jest to. I z czasem odszedłem od komunizmu. Wtedy komuniści powiedzieli, że byłem zawsze agentem policyjnym.

- Ale jacy to byli komuniści? To byli przypuszczalnie pańscy koledzy.

- To byli komuniści podporządkowani dyscyplinie partyjnej. A tam żadnego koleżeństwa nie było. I być nie mogło.

- Czy pan współpracował z prasą katolicką w Polsce?

- Nie, z żadnym czasopismem w Polsce nie współpracowałem. Mam ten zwyczaj, że nigdy nie pcham się tam, gdzie nie jestem zapraszany. A nikt się do mnie na przestrzeni tych wszystkich lat nie zgłaszał.

- Drukował pan w „Kulturze” i w „Wiadomościach” londyńskich, wydawał pan w Paryżu.

- Wydawałem w „Białym Orle” i w „Życiu” kiedy jeszcze wychodziło w Londynie. W 1981 roku kiedy był szczytowy moment „Solidarności”, urządzono mi w Lublinie wieczór autorski. I liczone, że przyjadę. Ale potem przyszedł 13 grudnia...

- A rzeczywiście chciał pan przyjechać?

- Gdyby się „Solidarność” utrzymała, to tak. Ostatnio ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim zbiorowy tom pt. „Lublin literacki”. Jest tam o mnie szkic Kryszaka z uniwersytetu w Toruniu, także Tadeusz Kłak coś o mnie wspomina i jeszcze paru innych, na ogół pochlebnie. Poza tym studentka uniwersytetu w Toruniu napisała pracę magisterską o mojej twórczości poetyckiej. Mam tę pracę. Jest dobra, choć mógłbym zgłosić parę zastrzeżeń. Autorka przesłała mi ją przez kogoś, kto jechał do Paryża i stamtąd otrzymałem ją pocztą.

- Czy praca ta zawiera pełną bibliografię pańskich dzieł?

- Nie ma ostatniego tomu pt. „Dwie książki”, wydanego w styczniu br. Przez Instytut Literacki

w Paryżu, czyli przez „Kulturę”. Autorka pisze, że tego tomu nie zna. A całą resztę uwzględnia.

- To znaczy, że w Polsce są wszystkie pańskie książki?

- Naturalnie.

- Czy tu, w Madrycie, znalazłbym w bibliotece pańskie książki pisane po polsku?

- Tu nie ma takiego zwyczaju. W Waszyngtonie pan znajdzie, w narodowej bibliotece amerykańskiej. Oni mają wszystko.

- Czy mógłby pan przypomnieć kilka tytułów swoich powieści?

- Pierwsza był trylogia o mojej młodości kaukaskiej, ale to nie jest rzecz autobiograficzna. Pierwsza część nazywa się „Komysze”, druga „W stancy”, trzecia „Droga powrotna”. Całość była drukowana w tygodniku „Orzeł Biały”, następnie wyszła książka. Potem powstała tetralogia, też posądzana o to, że jest autobiografią, choć to nieprawda. Przedstawiłem w niej Lublin komunistyczny, lewicowy lat trzydziestych. Poszczególne części noszą tytuły: „Czerwona wiosna”, „Terminatorzy rewolucji”, „Nożyce Dalili”, „Rzeka graniczna”. Powieści kaukaskie napisałem w latach pięćdziesiątych, a tetralogię dziesięć lat później.

- Jak pan mógł po odejściu od komunizmu pisać z sympatią o komunistycznym Lublinie?

- Z jaką sympatią? Z realizmem. Po prostu napisałem tak, jak to wyglądało. Żadnej sympatii tam nie ma. Realistyczne ujęcie rzeczywistości i tyle. Bohater tej powieści, który zbliża się do komunizmu, a potem od niego odchodzi, to niby ja.

- Gdzie pan wydał tę tetralogię?

- Poprzez Fundusz Kultury Polskiej w Londynie. To było jedno jedyne wydanie.

- Pańska droga do emigracji była zupełnie inna niż kogokolwiek spośród Polaków tworzących za granicą. Nikt z nich nie był blisko partii komunistycznej. Może jedynie Czuchnowski. Co pan myśli o tym świecie, w którym pan żyje, a którego ja właściwie nie znam?

- Naród hiszpański jest bardzo specjalny. Moim zdaniem tu nigdy demokracji nie będzie. Hiszpanie nie nadają się na demokratów. Każdy Hiszpan jest podszyty anarchizmem.

- W czasach dyktatury siedział pan tu w więzieniu. Jak tam się z panem obchodzono?

- Regulamin w więzieniu hiszpańskim jest straszny, ale nie jest przestrzegany. Wisi na ścianie i tyle. Przede wszystkim prawie cały czas (chyba że padał deszcz) byliśmy na podwórku i robiliśmy, co nam się podobało - grywaliśmy w szachy, koszykówkę itd. Potem do celi na obiad. I z powrotem na podwórko. Potem do celi na kolację. I znów na podwórko. A potem spać. Poza tym, była tam całkiem niezła biblioteka, z której można było korzystać.

- Wczoraj pan powiedział, że nie wracał pan do kraju w obawie przed represjami. Ale przecież pan nic złego nie zrobił, pan pisał wiersze. Tuwim też pisał wiersze i nic mu nie zrobili.

- Niech pan nie porównuje Tuwima ze mną, on nie miał takiej przeszłości, jaką ja miałem. On komunistą nigdy nie był.

- I dlatego pańska gorycz jest o wiele większa...

- Najlepsze swoje lata spędziłem w pogoni za majątkiem, który okazał się fałszywy. I odszedłem od tego. Wtedy powiedziano, że jestem agentem policyjnym...

- Moje kolejne pytanie jest nawiązaniem do pańskiego wiersza o matce, w którym napisał pan, że „wszystko miało być inaczej”. Jak to miało być w pańskich marzeniach czy planach?

- Że będą normalne warunki, że wrócę do Lublina i będę się swoją matką opiekować.

- To beznadziejne siedzieć tutaj. Ja bym już dawno umarł. Bo dla kogo miałbym żyć i co miałbym tu robić?

- A ja nie umarłem. Żyję dla poezji. No, ale ja tam, wśród swoich, żyć nie mogę...

- A czy nigdy nie myślał pan o tym, żeby pojechać i zobaczyć Lublin?

- Ale w jaki sposób? Kto mi zaręczy, że będę mógł wrócić?

- Kto miałby pana w Polsce zatrzymywać?

- Komunistyczna partia i komunistyczna policja.

- Czy ma pan w kraju jakichś krewnych?

- Mam siostrę i siostrzeńca, który ma już wnuki i prawnuki. Kiedy opuściłem Lublin miał dziesięć lat. I potem nigdy już go nie widziałem. Siostra jest na emeryturze. Zaprosiłem ich tutaj, ale list polecony nigdy do nich nie doszedł.

- Czy pan się może utrzymać z tego, co pan pisze?

- Z trudem. Żyję wyłącznie z pisania. Z wierszy, artykułów, tłumaczeń z ukraińskiego, rosyjskiego, białoruskiego, hiszpańskiego.

- Kogo z Rosjan pan tłumaczył?

- Tych wszystkich, którzy padli ofiarą systemu. Rylejewa, powieszono go za spisek dekabrystów w 1824 roku, Puszkina, Lermontowa i wielu innych. Takich, co albo zginęli, albo musieli pisać nieszczerze, albo są w tej chwili w Związku Sowieckim całkowicie zapomniani, jak np. Sołowiow - znakomity poeta i filozof, Mikołaj Gubinow, rozstrzelany w 1921 roku, którego wiersze studenci przepisują sobie w zeszytach, Knuriew zmarły w obozie koncentracyjnym, Kamionski, który

przed śmiercią napisał list wierszem do Stalina, kończący się słowami: „daj żyć i umrzeć pozwól”, a Stalin był na tyle wspaniałomyślny, że pozwolił mu umrzeć, wreszcie Anna Achmatowa, która wprawdzie umarła śmiercią naturalną, ale była przez dłuższy czas skazana na niedrukowanie. To jest rzecz obliczona na sześć tomów.

- I gdzie pan to wyda?

- Nie wiem. Poza tym mam w tom pt. „Droga do Tobozo” (to tam, gdzie Cervantes umieścił swoją Dulcyneę). Pierwsza połowa to są moje wiersze na tematy hiszpańskie, a druga to antologia poezji hiszpańskiej. Pięćdziesięciu poetów, poczynając od XIII wieku, a kończąc na ostatnich, najmłodszych. Jeśli to wydaję, będzie to pierwsza antologia poezji hiszpańskiej w języku polskim.

- Chciałbym teraz pana zapytać o emigrację, o tę emigrację, z którą pan się spotkał.

- Trzon stanowiło wojsko, które wyszło z gen. Andersem do Persji, a potem dalej na Zachód. To byli albo żołnierze, albo zesłańcy do łagrów i więzień sowieckich, wywiezieni z Wilna, ze Lwowa i okolic z kobietami i dziećmi. Do tego doszli, oczywiście, tacy emigranci jak ja, którzy uniknęli pobytu w Związku Sowieckim. Emigracja zgrzeszyła optymizmem i nadmierną wiarą w zachodnich sojuszników. A nie brała pod uwagę w dostatecznym stopniu niebezpieczeństwa sowieckiego.

- A co robili socjaliści polscy na wychodźstwie?

- Kłócili się między sobą. Podzielili się na kilka sekcji i kłócili się o to, które z nich jest reprezentacją przedwojennego PPS.

- A jak pan ocenia liczebność tej emigracji?

- Nie ma dokładnej statystyki, ale około kilkuset tysięcy. Plus stara emigracja zarobkowa. Razem jakieś dwa miliony.

- W samym Londynie było około 150 tyś. Polaków.

- Tak jest. Londyn był największym ośrodkiem w Europie.

- Co zostało z tej starej emigracji?

- Bardzo mało, przeważnie nagrobki. Stara emigracja jest na wymarciu. Jeżeli ja miałem 35 lat, kiedy skończyła się wojna, a teraz mam 78, to tych, którzy mieli wtedy po 40, nie ma już na świecie. (...)

- Pan jest człowiekiem głęboko religijnym, sądząc z wierszy, które czytałem. Czy pan związał się z Kościołem?

- Nie, nigdy. Uważam, że pisarzowi wystarczą jego przeżycia religijne poza kontaktami z Kościołem jako organizacją.

- Jak pan sądzi, co zostanie z literatury emigracyjnej?

- Sporo zostanie. Wiersze Wierzyńskiego, Przyłuckiego, Sułkowskiego. Powieści Józefa Mackiewicza. To i owo z publicystyki. Miłosz. Choć Miłosza właściwie trudno uważać za emigranta. On nie wróci do kraju dlatego, że ma dobrą sytuację finansową w Ameryce. Pieniądze z Nagrody Nobla się skończą, a pensja na uniwersytecie w Berkley pozostanie.

- Chciałbym jeszcze pana zapytać o pańskie przyjaźnie.

- W tej chwili prawie nie istnieją. Moi przyjaciele prawie wszyscy wymarli. I starsi ode mnie, i młodszy także.

- Przyjaźnił się pan z Kazimierzem Wierzyńskim. Czy ma pan jakieś jego listy?

- Nie mam żadnych listów, bo wszystkie moje archiwa zaginęły. Korespondencja była różna. Wierzyński przez całą wojnę był w Stanach Zjednoczonych, potem przeniósł się do Rzymu i Londynu. I w Londynie zmarł. W tamtych latach widywałem się z Wierzyńskim co roku z okazji przyznawania nagrody literackiej „Wiadomości”.

- Kogo wtedy nagradzaliście?

- Pierwszy był Hłasko. Braliśmy pod uwagę książki wydane na emigracji, obojętne czy napisane przez pisarza emigracyjnego czy krajowego. Z piętnastu członków jury, wybranych w ankiecie czytelników, dwunastu już zmarło. Żyje tylko trzech.

- W ilu posiedzeniach jury brał pan udział?

- W kilkunastu. Od roku 1970 do 1980 brałem udział po roku. Potem już nie zawsze.

- Pan się przyjaźnił również z Lechoniem?

- Lechonia przed wojną nie znałem. Poznałem go w Paryżu, kiedy wrócił z Węgier. I obcowaliśmy z nim dość często przez trzy miesiące. Potem on wyjechał do Brazylii, a z Brazylii do Stanów Zjednoczonych. Tam popełnił samobójstwo. To nie była żadna nostalgia tylko samobójstwo z rozpacz na tle erotycznym. Poza tym Lechoń był nerwowo roztrzęsiony, bo widział, że przestaje umieć pisać. Od czasu do czasu jakiś wiersz mu wychodził, ale to zdarzało się raz na rok.

- Ile lat mieszkał w Nowym Jorku?

- Przeniósł się z Rio de Janeiro w 1942 r., tzn. 14 lat.

- Czy pan sądzi, że w Nowym Jorku tłumaczono go na angielski?

- O ile wiem - nie. Nie słyszałem o żadnych jego tłumaczeniach.

- Jak pan ocenia twórczość Miłosza?

- To bardzo dobry poeta i bardzo kiepski publicysta.

- A zna pan „Umysł zniewolony”?

- „Umysł zniewolony” to jest książka całkowicie fałszywa, wydumana przez niego. Kiedy on na przykład powiada, że emigranci w Londynie marzyli tylko o tym, żeby wrócić do stosunków panujących prze wojną, to on usprawiedliwia przed samym sobą nieobecność w ambasadzie PRL w Waszyngtonie. Podobni przedstawione w „Zniewolonym umyśle” cztery portrety: Broniewskiego, Andrzejewskiego, Putramenta i Gałczyńskiego, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Bardzo wysoko natomiast cenię Miłosza jako poetę i autora „Doliny Issy”. Pierwsza jego powieść „Zdobycie władzy” była nieudana.

- Kogo jeszcze pan ceni z emigracyjnych pisarzy?

- Bardzo wysoko cenię Bronisława Przyłuckiego. To był poeta bardzo mało znany przed wojną, w pewnym sensie kontynuator Bolesława Leśmiana, ale nie naśladowca tylko twórczy kontynuator linii, po której szedł Leśmian. Umarł młodo w Londynie. To był zawodowy oficer artylerii przed wojną i w wolnych chwilach pisał wiersze. Należał do grupy poznańskiej, ale potem przeniósł się do pułku w Białymstoku i tam go poznałem, kiedy zorganizował w Białymstoku wieczór poetów lubelskich. To był bardzo dobry poeta i wielka szkoda, że przedwcześnie umarł. Młodo zmarł także Tadeusz Sułkowski, który przed wojną w ogóle nie był znany. Debiutował dopiero po wojnie. Ale za życia go nie wydawano. Dopiero po śmierci wydano dwa jego tomy. To był duży talent, oryginalny. Polska poezja poniosła ogromne straty w czasie wojny. Było kilku młodych poetów prawie zupełnie nieznanymi, którzy zginęli w czasie wojny, m.in. potka żydowskiego pochodzenia Zuzanna Ginczanka, urodzona w Kijowie w dniu rewolucji bolszewickiej. Była we Lwowie, nie zdążyła uciec przed Niemcami i ukrywała się pod ormiańskimi papierami. Ale ją wykryto i została rozstrzelana w styczniu 1945 roku pod Krakowem.

- Pan współpracował z „Wiadomościami” londyńskimi. Dlaczego „Wiadomości” przestały wychodzić?

- Przyczyną były kłopoty finansowe i zmęczenie redaktorki. Wypowiedziano „Wiadomościom” mieszkanie, a redaktorka załamała się i zamknęła redakcję. Właściwie sami Polacy to pismo „położyli”.

- Nic pan dotąd nie powiedział o Gombrowiczu...

- Gombrowicza poznałem w Warszawie, w roku wydania „Ferdynand”. Poznałem go w knajpie „Pod wróblem”. On tam przyszedł ze Światopełkiem Karpińskim, o którym Miłosz napisał, że umarł incognito. Karpiński na pewno zasługiwałby na wiele więcej niż informacja w jaki sposób umarł. Był laureatem drugiej Nagrody Młodych. Pierwszą otrzymał Michał Choromański w 1935 roku, za „Zazdrość i medycynę”, drugą Światopełk Karpiński za „Mieszczkański poemat”, trzecią ja

z 1937 roku za tom wierszy pt. „Demonom nocy, czwartą dostał Piętak, a piątą Andrzejewski.

- Kto tworzył jury tej nagrody?

- Wszystkich nie pamiętam. Grydzewski na pewno, Zygmunt Nowakowski, Zofia Nałkowska, Ferdynand Goetel...

- Andrzejewskiego pan znał. Jak pan wtedy oceniał jego pisarstwo?

- Ceniłem go wysoko za „Ład serca”. Nie podobało mi się, że drukował to w „Prosto z mostu”, ale to była bardzo dobra lektura. Poza tym byłem blisko z Jerzym Zagórskim, który był faktycznym, chociaż nieoficjalnym redaktorem kolumny literackiej „Kurier Porannego”. Tytułarnym był Witold Hulewicz, ale on się tym nie zajmował. Wszystko robił Zagórski. Widziałem się z nim ostatni raz w Madrycie. Był już wtedy stary, zde gustowany. On nie poszedł na socrealizm całkowicie, ale się o niego otarł.

- A wracając do Gombrowicza...

- Poznałem go w tej knajpie. Pamiętam, że pokazywał nam wtedy różne projekty okładek do „Ferdydurke”. I pytał nas, która jest najlepsza. Karpiński i ja wybraliśmy tę, na którą on sam się później zdecydował. Z czasem straciłem z nim kontakt. Co było w Buenos Aires - nie wiem, w żadnym razie kariery tam nie zrobił. Wygłaszał odczyty, które w kołach literackich były uznane za skandaliczne. Potem przeniósł się do Francji i mieszkał tam aż do śmierci.

- Czy pan czytał „Dzienniki” Gombrowicza? Co pan o nich sądzi?

- Bardzo mi się nie podobały. Za dużo tam liczenia na efekty, bawienie się z czytelnikiem.

- A pan wie, że on uważał się za największego pisarza stulecia?

- Wiem, ale to nieprawda.

- Jakby pan określił swoją misję albo misję swojego życia?

- Wydać te książki, które mam do wydania. Pożyć jeszcze kilka lat.

- Mówił pan, że poezja powinna być polityczna. Mnie się też tak wydaje, z tym, że czasem mam już dość polityki. Ale pan nie jest poetą stricte politycznym?

- Nigdy nie miałem ambicji, żeby być poetą stricte politycznym. To jest jeden nurt i wcale nie najważniejszy.

- I dlatego sądzę, że pańska poezja się uratuje, że nie zginie.